

Henryk Jarosiewicz

## Nie było powodu, aby odmawiać (świadećstwo)

Jesteśmy rodziną zastępczą dla niepełnosprawnego chłopca. Jest to tzw. rodzina terapeutyczna. Chcemy bardzo krótko podzielić się świadećstwem na temat tego, jak to się dzieje, że nagle rodzina zostaje „rodziną zastępczą”. Postaramy się naświetlić tą sprawę z kilku stron, również ze strony naszych starszych dzieci. Bo przecież rodzina to nie tylko małżonkowie. W momencie przysposobienia Łukasza mieliśmy już czworo własnych, dwie dziewczynki i dwóch chłopców, prawie „nastoletnich”. Oni również zostali przez nas poproszeni, aby napisali coś „od siebie”.

Henryk. Napisałem, że zostaliśmy rodziną zastępczą „nagle”. Nie zawsze tak być musi, lecz w naszym przypadku tak właśnie było. Na jednym ze spotkań kręgu rodzin Ruchu Domowego Kościoła, a czasie tzw. „dzielenia się życiem”, jedna z uczestniczek – pracująca w ośrodku adopcyjnym – podzieliła się swoim problemem: „Jest chłopiec. Wspaniały. Siostra zakonna, z domu, w którym do tej pory przebywał poszukuje dla niego rodzin. Niestety – nikt go nie chce! A przecież, dla jego rozwoju zmiana środowiska jest konieczna!”

„-W czym problem? Czy rzeczywiście tak trudno znaleźć opiekę dla dziecka wymagającego opieki?” –padają pytania (na spotkania naszego „kręgu rodzin” przychodzą 4 małżeństwa). Koleżanka szerzej zarysowała sytuację takich dzieci:

„-Jest to chłopiec specjalnej troski. Do dziesiątego roku życia – praktycznie nie słyszał. W konsekwencji również nie mówił. Powodem było niewykształcenie się małżowin usznych i części ucha wewnętrznego. Do tego – deformacje czaszki i inne braki „urody”. Jednak po zabiegach chirurgicznych mających na celu rekonstrukcję ucha chłopak zaczyna słyszeć. A wraz z tym również - mówić i rozwijać się. Startuje z 10 letnim opóźnieniem! Nikt go jednak nie chce wziąć, bo... jest brzydki”

Cała sprawa dociera do mojej świadomości. Kilka myśli, w sumie dość prostych. Wydaje mi się, że chyba poradzilibyśmy sobie; mamy odpowiednie wykształcenie, ja nawet jestem fizjoterapeutą, a więc nie było by problemów z wykonywaniem ćwiczeń. Małgosia nie pracuje poza domem, a więc jest możliwość opieki. Mamy czworo dzieci, ale – począwszy od trzeciego – wydaje nam się, że z każdym następnym jest jakoś łatwiej... Przy ostatnim mieliśmy już sporo pomocy ze strony najstarszych córek. A poza tym (i ta myśl wydała się być dziwnie wyraźna) >rodzina z natury jest otwarta na każde życie<. To ostatnie zdanie wróciło do świadomości jako treść, z jaką spotkaliśmy się z czasie formacji w kręgu. Rodzina – z istoty swej otwarta na życie... W sumie tych kilka myśli ważyło się we mnie dość krótko. Widziałem, że nie znajdują żadnych argumentów przeciwko, a wszystko przemawia za tym, aby brać poważnie taką właśnie perspektywę: >moglibyśmy go przyjąć!<

Nie wiem, co wówczas działo się w sercu mojej żony. O tym musi powiedzieć sama. Tym niemniej chcę to jakoś podkreślić: ta sprawa mnie zaskoczyła. Ale – byłem wewnętrznie

przygotowany do tego, aby się nie sprzeciwić. Nigdy bym nie szukał takiej drogi, a nawet nigdy poważniej o tym nie myślałem. Ale kiedy taka perspektywa stanęła realnie przede mną, to widziałem to tak, jakby była to „moja” droga. Wracam do tego momentu zawsze wtedy, kiedy słyszę zdania w rodzaju: „jacy jesteście wspaniali; czworo własnych dzieci i jeszcze wzięliście dziecko niepełnosprawne!” Otóż to nie było tak! Po prostu – nie odmówiliśmy. I tyle. Może potem było trudniej, ale nie na początku. Wydaje mi się, że dobrze się stało, że to gotowość na „zgode” pojawiła się od razu. Czasem myślę, czy jest to nienaturalne, czy właśnie naturalne. Musieliby się wypowiedzieć inni na ten temat.

Najpierw pojawił się w myśli, a potem było pierwsze spotkanie, w domu opieki, gdzie przebywał wśród dzieci w większości głęboko niedorozwiniętych. To niezapomniane przeżycie, wręcz trudno o nim coś powiedzieć... Muszę przyznać, że pierwsze spotkanie z Łukaszem wiązało się z jakimś „skurczem” serca. Miał na sobie aparat do korekty kości twarzy i wyglądał dość okropnie. To działa na uczucia. Nie dopuszczam jednak w sobie „estetycznej” oceny spraw i zdarzeń. Co innego widzieć i przeżywać emocjonalnie, a co innego kierować się tymi przeżyciami. Czy kiedy sam będą brzydko wyglądał, to moi bliscy odsuną się ode mnie?

Małgosia. Decyzja, że nasza rodzina się powiększy – zapadła. Naturalne burze niepokoju, wątpliwości, oporów i... jakiś wewnętrzny, nie podlegający dyskusji i emocjom spokój. Głębokie przekonanie, że ten młody, chory człowiek, dziecko, znajdzie się wśród nas, bo tak musi być. Tak w niewytłumaczalny sposób realizować się będzie jakiś plan, boży plan Miłości. Domagający się otwarcia na życie.

Przyszedł u wszystko stało się jasne i proste zarazem. Znalazło się miejsce, nie tylko przy stole. Pojawiła się nowa przestrzeń; nowe relacje, wsłuchanie w inny świat. Świat dziecka, które słysząc niewiele, nie mówiąc, zaczęło nas uwrażliwiać na słowo, jego znaczenie, zawartość. Trzeba się było nauczyć języka miganego, ale też nieźle pogimnastykować głowę, aby wytłumaczyć mu, co to znaczy: „popatrzył się głęboko w oczy”, bo jego wersja brzmi: „wpadł w dół”, tylko dół jest głęboki. Ale nie tylko język był problemem. Ta sytuacja pozwoliła na nowo, w innym świetle przyjrzeć się domowym zwyczajom, relacjom rodzinnym. Wszyscy stali się bardziej sobie potrzebni. Najmłodszy znalazł dodatkowe oparcie, starsi mogli dzielić się swoim doświadczeniem i dodawać sobie otuchy.

Poruszona została wyobraźnia. Jak pokazać złożone zjawiska, cały świat przeżyć i wzruszeń, wyjaśnić i ponazywać rzeczy obce „przybyszowi”? Kalectwo i kilkanaście lat w domu dla dzieci specjalnej troski w konfrontacji z naszym życiem było również dla niego wyzwaniem. Po latach przyszedł czas na dyskusję. Zmieniły się odpowiedzi na trudne pytania. Kiedyś było: „-Po co chodzisz do szkoły?” –Nie wiadomo, różne. „-Czemu piszesz w zeszytach?” –Na pamiątkę. „-Dlaczego nie nosisz aparatu słuchowego do spowiedzi?” –Bo nie będą podsłuchiwać innych ludzi... Dzisiaj ze swoją konkretną pamięcią Łukasz jest nieodzowną pomocą w budowaniu drzewa genealogicznego rodziny... właśnie rodziny, w której zajął miejsce w sposób naturalny, acz w innym porządku.

Marta. Pamiętam, że po raz pierwszy usłyszeliśmy o Łukaszu kilka lat temu, podczas Wigilii. Tamte święta spędzał w szpitalu, po kolejnej operacji. Bardzo nas to poruszyło, więc każdy

ofiarował co miał najlepszego z tego, co znalazł pod choinką. Przygotowaliśmy dla nieznanego chłopca paczkę, która jednak nie zrobiła na nim większego wrażenia, gdyż takich rzeczy miał na co dzień aż za wiele. Dziwił się tylko, że Milky Way nie umie latać jak w reklamie, a normalne życie wygląda inaczej, niż w telewizji. Początki były trochę trudne, zwłaszcza, że Łukasz niewyraźnie mówił. Poza tym przyniósł ze sobą wiele obcych nam przyzwyczajęń i zachowań. Z czasem jednak wszystko się „dotarło”. Dziś Łukasz sam z siebie potrafi podzielić się najmniejszym nawet wafelkiem. Nie wyobrażam sobie już naszej rodziny bez niego.

Henryk. Czasem słyszymy pytanie: „Czy konsultowaliście to z własnymi dziećmi?” Otóż odpowiadam, że nie konsultowaliśmy. Ale też dopowiadam, że znamy swoje dzieci. Nie rozumiem częstej dziś tendencji „partnerskiej”, która skłania do konsultowania wszystkiego z dziećmi. Starsze dzieci uczestniczą w życiu rodziców, młodsze uczestniczą w życiu rodziców i starszego rodzeństwa, a te, które przychodzą na końcu, czy to własne, czy to przysposobione, zastają tych, którzy już są, jako otwartych, jako oczekujących. Nikomu tego uczestnictwa nie można odmówić, a zatem: nie ma sensu pytać dzieci o zgodę. Wątpiącym zaś zostawię pytanie: a jeśli dzieci by odmówiły? Ale też: liczymy się ze zdaniem dzieci i znamy je, znamy ich możliwości. Łukaszowi było potrzebne uczestnictwo i one były w stanie otworzyć się na niego.

Podam przykład. Siostry, od których przyszedł do nas wątpliwy: „Jak sobie poradzicie? Macie czworo dzieci, a my musimy codziennie 3-4 godziny odrabiać z nim lekcje!” Życie pokazało, że my nie „musieliśmy”. U nas wszyscy odrabiają lekcje w jednym czasie, pomagając sobie jeśli jest potrzeba. Łukasz chodził do jednej klasy z naszym starszym chłopcem. Ale – nie od niego nauczył się najwięcej! Jego poziom umysłowy był porównywalny z rozwojem naszego młodszego synem. I między nimi właśnie nawiązywały się żywe konwersacje prowadzące do nadrobienia braków w rozumieniu świata. A było co nadrabiać, bo nawet odczytanie godziny z zegara stanowiło problem... Zaobserwowaliśmy, że dzieci są doskonałymi pedagogami. Potrafią dostosować się do swego poziomu. Widzimy to przez kontrast, gdyż – niestety – większość nauczycieli nie ma tej zdolności. Można śmiać się lub płakać (jak kto woli), kiedy słyszy się, jak nauczyciel mówiąc do Łukasza buduje zdania na wysokim poziomie abstrakcji, nie zdając sobie sprawy, że dziecko niedosłyszające myśli na poziomie konkretnym. Należy jest dopiero stopniowo „podprowadzić” wyżej. Liczne rodzeństwo spełnia to zadanie w sposób naturalny i spontaniczny. Nasz Łukasz może z Miłoszem rozmawiać na poziomie konkretnym, z Mateuszem na poziomie swego wieku, a z dziewczynkami – jeszcze nieco wyżej; to już dla niego prawie uniwersytet. „A rodzice?” – zapyta ktoś. My sprawdzamy zadania, niekoniecznie odrabiamy z nimi, choć czasem taka potrzeba oczywiście zachodzi. Wydaje mi się, że trudniej byłoby nam, gdybyśmy mieli tylko Łukasza. Nasze doświadczenie pokazuje, że do wychowania potrzebna jest wspólnota, a której bracia i siostry stanowią naturalne środowisko wzrostu.

Jest jednym z przesądów, które gnębią nasze myślenie, że tzw. rodzina wielodzietna musi być niewydolna wychowawczo, bo brak w niej czasu. Niby dlaczego? Inna sprawą jest natomiast czas potrzebny na pielęgnację dziecka niepełnosprawnego, a więc wyjazdy na zabiegi, dowożenie do szkoły, itd. Tych aspektów nie należy ze sobą mieszać.